

Epizod z otwarcia muzeum jenieckiego w Dobiegniewie*

Dziadek mój po kądzieli, Innocenty Libura, nie lubił opowiadać o kampanii wrześniowej. Przecięła gwałtownie okres najbardziej twórczych lat jego pracy nauczycielskiej i społecznej, harcerskiej służby i twórczości pisarskiej. Po krótkich bojach, 21 września dostał się do niewoli w Narolu pod Tomaszowem Lubelskim. Okupacja oznaczała biedę i tułaczkę dla jego najbliższej rodziny, śmierć brata z rąk sowietów, tragiczną, przypadkową śmierć jednej z córek, a dla niego samego pięć lat za drutami jenieckiego obozu. Po powrocie z niewoli – choć nadal pracował jako nauczyciel, w komunistycznej rzeczywistości nie znajdował już wiele miejsca dla swego przedwojennego stylu kształcenia i wychowania. Poloniście z powołania – pozwolono uczyć jedynie języka rosyjskiego i łaciny. Ludowe państwo dokładało wszelkich sił, by odciąć nowe pokolenie od poczucia ciągłości z II Rzeczpospolitą.

Jeśli jednak udało się już dziadka namówić na wspomnienia wrześniowe, bardzo często zatrzymywał się przy epizodzie w szczególności przy przykrym. Tuż przed bitwą pod Korczynem, lustrując przedpole, spostrzegł w pewnym momencie kilku podejrzanych mężczyzn, solidnie uzbrojonych, w góralskich kozuchach, biegnących w stronę pobliskiej wioski. Byli to najprawdopodobniej dywersanci, jednak dziadek nie zrobił nic, by ich zatrzymać, ponieważ jakoś stracił akurat broń, a prócz tego pamiętał, że w zamieszaniu wrześniowym sam już parę razy był omyłkowo zatrzymywany jako rzekomy dywersant. Mężczyźni minęli go i wkrótce potem słychać było w wiosce strzały z broni ręcznej i wybuchy granatów. Dziadek przez całe życie miał wyrzuty sumienia. Próbowaliśmy przekonywać go, że postąpił słusznie, nie mając żadnych szans w starciu z uzbrojonymi żołnierzami. Nie całkiem to jednak dziadkowi trafiało do przekonania.

W spotkaniach woldenberczyków, organizowanych po wojnie, dziadek nie brał udziału. Z niektórymi towarzyszami niewoli utrzymywał wprawdzie kontakt, ale irytowała go oficjalna, socjalistyczna propaganda. Pewnego razu jednak dowiedział się, że w Dobiegniewie zostanie otwarte muzeum obozu i wtedy wyjątkowo postanowił pojechać. Namówił mnie zarazem, bym towarzyszył mu jako opiekun. Było to w 1987 roku. Dziadek miał wtedy osiemdziesiąt sześć lat.

Pamiętam dobrze okoliczności tej podróży. Wyruszyliśmy z Wrocławia osławionym wówczas pociągiem relacji Burgos – Szczecin. Wagony były prawie wyłącznie z kuszetkami, jedynie na końcu składu doczepione były dwa zwykłe. Na peronie ogromny tłum ludzi chcących odbyć jedynie ostatni odcinek trasy, nie miał, oczywiście, biletów na kuszetki. Podróżni musieli się upchnąć w tych dwóch ostatnich wagonach. Ścisk był tak wielki, że trochę wolnego miejsca udało mi się znaleźć jedynie „na blaszce” w przegubie łączącym dwa wagony. Miejsca zresztą jedynie w miarę wolnego – w przegubie stało nas pięciu. Cały pozostały, długi skład był pusty. A dziadek? Widząc, jak kierowniczka pociągu w majestacie władzy stanęła w drzwiach, nie wpuszczając ludzi do kuszetek, zawołał: „To jest nonsens, proszę mnie natychmiast wpuścić do tego pustego wagonu – jestem kombatan z Woldenbergu!” Machnął laską i zanim zaskoczona funkcjonariuszka służby kolejowej zdążyła zareagować, odepchnął ją i wszedł do przedziału. Pociąg ruszył. W tłumie stłoczonym

w moim wagonie aż się zagotowało: „Aleśmy się dali babie w konia zrobić! – wołał ktoś. – Trzeba było z nią jak ten dziadek!” „Gdzie on jest!? – wołali inni – on by nas tam wszystkich wpuścił!” Drzwi przejściowe do kuszetek były jednak zamknięte, a konduktorka zarygłowała też na głucho drzwi zewnętrzne, by nikt nie dobijał się ponownie na kolejnej stacji. Ale dziadka nikt nie wyprosił. Panie z obsługi rychło do siebie przekonał i odbył wygodnie całą drogę na kuszetce, mile gawędząc. A ja przestałem parę godzin na blaszce.

Zjazd w Dobiegniewie miał bogaty program. Nie pamiętam już dokładnie poszczególnych części. Byłych jeńców obozu żyło jednak wówczas w kraju jeszcze dość wielu, tak że na salach spotkań było gęsto. Po wszystkich oficjalnych uroczystościach, przemówieniach, salwach honorowych itp. przyszedł też czas i na rozmowy prywatne – przy herbacie, w małych grupach. Pamiętam jak usiedliśmy z dziadkiem przy stoliku, do którego przysiadło się jeszcze dwóch woldenberczyków. Stolik był tak mały, że można było przy nim siedzieć najwyżej w czwórkę. Jeden z naszych rozmówców był chyba jakimś oficerem marynarki, bo wspominał różne sytuacje ze służby na okręcie, drugi – walczył we wrześniu w głębi kraju. Kiedy rozmowa zesła na wspomnienia z kampanii wrześniowej, dziadek mimochodem podzielił się również i gryzącymi go od ponad czterdziestu lat wyrzutami sumienia, związanymi z owym nieszczęsnym epizodem pod Korczynem. I wówczas...

Oficer – ten z wojsk lądowych (jak się potem dowiedziałem – był to ppor. Jerzy Szymiczek) – w miarę jak dziadek opowiadał, słuchał wyraźnie z coraz większą uwagą. A kiedy dziadek skończył, zapytał:

– Zaraz, zaraz, czy nie było to czasem w pobliżu tej a tej miejscowości? (wymienił nazwę, której już nie pamiętam).

– Tak, właśnie koło niej – odparł dziadek nieco zaskoczony.

– Ależ ja dowodziłem wtedy oddziałem, który walczył na sąsiednim odcinku! Ja sobie tę sytuację i tych ubranych w kozuchy dywersantów doskonale przypominam!

I zaczął z pamięci przytaczać różne szczegóły zaistniałej sytuacji – topografię terenu, przebieg bitwy itp., tak dokładnie, że dziadek nie mógł mieć żadnych wątpliwości.

– To pan też widział tych dywersantów?! – wykrzyknął zdumiony.

– Oczywiście! **Myśmy ich ujęli !!!**

– Co takiego?!..

– Tak! Mieliśmy wtedy jeszcze i broń, i ludzi. Nie było problemu. Tamci się nawet nie bronili – widząc, że wpadli nam prosto w ręce, poddali się od razu. Kazałem ich rozbroić i odprowadzić...

Zapadła na moment cisza. Cisza, w jaką spowijają się czasem ludzkie losy przecinające się nagle z prawdopodobieństwem bliskim zeru. W tej ciszy usłyszałem jednak dobrze jeden dźwięk – ostatni dźwięk kampanii wrześniowej – wydał go kamień, który po czterdziestu ośmiu latach spadł dziadkowi z serca.

Tyniec, grudzień 2019

*) zob. Notka biograficzna Innocentego Libury